

Sabine Zett



Przełożyła Małgorzata Słabicka

Ilustracje Ute Krause

Nasza Księgarnia

Tytuł oryginału niemieckiego  
*Hugos Masterplan*

Title of the original German edition: *Hugos Masterplan*  
© 2011 Loewe Verlag GmbH, Bindlach

© Copyright for the Polish edition  
by Wydawnictwo „Nasza Księgarnia”, Warszawa 2013  
© Copyright for the Polish translation  
by Małgorzata Słabicka 2013

*Dla Vinca i Meli, którzy codziennie  
są dla mnie skarbnicą nowych powiedzonek,  
dowcipów i pomysłów*



## Matematyczny hicior



Król miał wTabze nab gaństwem.

Co?!

Zasnąłem, czy jak? Przecieram oczy, ale napis na tablicy się nie zmienia.

Wiedziałem.

Bycie geniuszem jest na dłuższą metę obciążeniem dla mózgu. No i teraz od tego genialnego myślenia nabawiłem się jakiejś strasznej choroby oczu, która powoduje przekręcanie liter!

Powinienem jak najszybciej trafić do szpitala, zanim mi się pogorszy. Dobrze, że na następnej lekcji piszemy klasówkę z matmy. Zastanawiam się, czy już dzwonić do rodziców, czy kazać się wieźć prosto do szpitala, gdy nagle słyszę, jak inni chichoczą.

— Nie zna dobrze niemieckiego, a ma nas uczyć historii? Powinni to pokazać w telewizji — mówi pod

nosem Nico Kolping, mój najlepszy przyjaciel, który siedzi tuż za mną. Od drugiego dnia szkoły już niestety nie obok mnie, bo podobno za dużo gadaliśmy i trzeba było nas rozdzielić. Tak stwierdziła pani Rims-Wallenberg. A ponieważ jest naszą wychowawczynią, miała niestety ostatnie słowo.

Teraz dzielę ławkę z przemądrzałą Carolin, a Nico z kujonką Ann-Kathrin. Trudno określić, który z nas trafił gorzej.

Z żadną nie da się pogadać, nawet gdybyśmy chcieli. Ale oczywiście nie chcemy, bo obydwie są z gatunku „wzorowych uczennic”, czyli wiedzą wszystko, potrafią wszystko, robią wszystko. Również zadania domowe, co w naszej klasie od początku było uważane za obciachowe.

– Cicho bądź! Pan doktor Torres pochodzi przecież z Chile, nie można więc od niego wymagać idealnego niemieckiego. Poza tym super tłumaczy historię, tak ciekawie jak w książce – szepcze Carolin i podnosi palce do góry.

– Panie profesorze, przepraszam. Przekręciło się panu kilka literek...

Okej, dobra wiadomość jest taka, że nie mam choroby oczu.

Zła: teraz mogę zapomnieć o natychmiastowym transporcie karetką i nie wywinę się od klasówki z matmy.

Kurrr... demolecholewcia.

Ale jeżeli ten Torres, który dopiero co zaczął nas uczyć, bo pani Wensing poszła na kilkumiesięczne zwolnienie lekarskie, ma przez cały rok szkolny tak koślawo pisać, to będzie niezły ubaw. Zobaczmy, kiedy przylecą w tej sprawie pierwsi rodzice.

Już słyszę, jak wołają:

– Panie dyrektorze, tak nie może być! Mój synek ma w szóstej klasie prawo do nauki w języku literackim! I do poprawnej pisowni! Również na lekcjach historii!

A do tego biedny Torres cierpi pewnie na jedno z tych skrótowych schorzeń cywilizacyjnych. ADS czy DHS albo SOS, czy jakoś tak. Wciąż się przecież o tym słyszy. To się chyba nazywa zespół-upośledzenia-matematyczno-czytaniowego-i-czegoś-jeszcze.

Ale czy w takiej sytuacji powinien nas uczyć?

Może to naprawdę skandal, jak twierdzi Nico?

– O, *gracias*. Mówiłem wam, że ja lepsze mówię, niż napiszę. A mój hiszpański jest oczywiście o dużo lepiej od niemieckiego. – Torres szczyrzy zęby i ge-

stem przywołuje Carolin. – Czy mogłabyś to napisać poprrrrawnie?

Moja sąsiadka z ławki uważa się chyba za kogoś bardzo ważnego, gdy zrywa się i śpiesznie podbiega do tablicy. Ja natomiast muszę się zająć ważniejszymi sprawami.

Po pierwsze:

Od kogo będę mógł zrzynać na matmie?

Bo jeśli po raz kolejny napiszę na jedynkę, to moje życie w domu zawiśnie na włosku. Mama na pewno dostanie szału i znowu zacznę głądzić o korkach. Tak jakbym jakichś potrzebował!

To śmieszne!

Dobra, na samym początku roku szkolnego zarobiłem pałę na klasówce z matmy.

I z angielskiego.

Na niemieckim poszło trochę lepiej, bo dostałem dwóję z plusem, ale rodzice mimo to nie byli zachwyceni.

Podobnie zresztą jak dwóją z kartkówki ze słówek francuskich, ale uważam, że to się nie liczy, bo to był przecież tylko teścik, a nie sprawdzian. Z klasówki dostałem na szczęście tróję.

Tyle tylko że popełniłem błąd i powiedziałem rodzicom o wszystkich sprawdzianach, dlatego potem

nie mogłem się wykręcić, gdy mama wciąż zadawała pytania o wyniki i zaraz potem poznała je na wywiadówce.

W domu rozpętało się piekło! Potrzebowałem prawie godziny, by wybić jej z głowy te korepetycje. Dlatego przezornie nic nie powiedziałem o dzisiejszej klasówce. Po co wywoływać wilka z lasu?

Po drugie:

Jak mógłbym ustawić kamerę, żeby dyskretnie nagrywać lekcje historii?

Bo jeżeli ten Torres nie ma żadnego skrótowego schorzenia, tylko rzeczywiście nie zna zbyt dobrze niemieckiego, to naprawdę wybuchnie skandal!

Pomysł Nica z telewizją wcale nie jest taki głupi. Z tego, co się słyszy, prywatne stacje całkiem nieźle płacą, gdy się im dostarcza gorące tematy. Tak przynajmniej mówi Nico, a on jest ekspertem. Nie żeby już sprzedał jakąś historię, ale ma wujka, który pracuje w telewizji. Chyba w RTL. Albo SAT1. Nie mam pojęcia, muszę go dopytać.

W każdym razie Nico twierdzi, że oni wciąż szukają filmów dokumentalnych, które opowiadają o prawdziwym życiu i ujawniają sensacje. Niewłaściwy stan rzeczy w szkole podpada przecież pod jedno i pod drugie!

Dyskretnie odwracam się do mojego kumpla.

– *Réunion ordinaire* o czwartej. Torres w telewizji.

– Po co ci kamerdyner?

– Nico znowu nic nie ja-  
rzy.

Ha, dlaczego po prostu  
nie wybrał francuskiego za-  
miast łaciny? Gdyby tylko  
mnie posłuchał.

Pojęcie *réunion ordinaire* znam  
właściwie od taty, który mówiąc o terminach swoich  
spotkań, używa na przemian słów *meeting* albo *réu-  
nion ordinaire*. A ponieważ robią wrażenie bardzo  
ważnych i światowych, od razu je sobie przyswoi-  
łem.

– *Réunion ordinaire*, nie kamerdyner. Narada,  
baranie. Temat: jak dorobimy się kasy.

– Kumam! – Nico promienieje. Kasa to magiczne  
słowo. Obydwaj jesteście regularnie splukani i wciąż  
poszukujemy nowych źródeł kieszonkowego.

W ostatnim miesiącu roznosiliśmy na przykład ga-  
zetki reklamowe ze sklepu Malinowskiego. Ale po  
dwóch tygodniach rzuciliśmy tę harówkę. Bo to też był  
skandal! Oni rzeczywiście wymagali, żebyśmy praco-



wali w niedzielę i wrzucali te prospekty do każdej skrzynki! Tylko po to, by gospodynie domowe zaraz w poniedziałek mogły lecieć do tamtego sklepu.

Ale nie z nami te numery!

Nie dawali dodatku za pracę w niedzielę, a ponieważ na dodatek lało jak z cebra, ułatwił mi się robotę. Nico wpadł na pomysł, żeby ponaklejać gazetki na latarniach ulicznych.

— Każdy, kto będzie przechodził, może od razu rzucić okiem.

Genialne.

Zupełnie, jakbym ja to wymyślił.

Gdy w końcu upiększyliśmy wszystkie latarnie gazetkami reklamowymi, a pozostałych dziesięć paczek wrzuciliśmy — tak, tak, dbamy o środowisko! — do kontenera z makulaturą, jakaś klientka Malinowskiego doniosła na nas.

Stara skarżypyta.

Malinowski wcale nie uznał pomysłu za genialny i chciał nas natychmiast zwolnić. Ponieważ jednak my nie dajemy się wywalać na bruk, sami wypowiedzieliśmy pracę.

— Proszę pana, warunki pracy tutaj są nieludzkie i społeczne — powiedziałem. — Ferdi wkrótce się o tym dowie.

– A kto to taki, ten Ferdi? Twój starszy brat? Co, grozisz mi? – Malinowski był rzeczywiście na tyle bezczelny, by mnie wyśmiać.

– Zobaczysz pan!

Z wysoko podniesionym czołem wymaszerowaliśmy ze sklepu i dopiero wtedy przypomniałem sobie, że niemiecki związek zawodowy usługodawców, którym chciałem zagrozić Malinowskiemu, nazywa się VER.DI wymawiane jako WERDI, a nie FERDI.

Kurde.

Eee tam. Nieważne.

Szczerze mówiąc, w duchu się ucieszyliśmy, że z tej pracy nic nie wyszło, bo przy podawaniu wieku trochę naściemnialiśmy i mieliśmy cykora, że się wyda. Taką pracę wolno wykonywać dopiero po ukończeniu trzynastego roku życia, a nam brakuje jeszcze paru miesięcy.

Nasza koleżanka z klasy Blinda, a właściwie Linda, córka Malinowskiego, próbowała następnego dnia w szkole nam jeszcze wmawiać, że jej ojciec to wielki społecznik, bardzo lubiany przez pracowników, ale cóż – jako córka jest oczywiście nieobiektywna.



Lekcja historii powoli upływa, a ja wciąż jeszcze nie uporałem się z rozwikłaniem moich problemów. To z kamerą muszę przesunąć na *réunion ordinaire*, teraz priorytetem jest klasówka z matmy. Zastanawiam się, czy na przerwie oficjalnie nie poprosić Carolin, by pozwoliła mi odpisywać, wtedy bez ceregie-li przesunęłaby swój zeszyt w moją stronę.

Z drugiej strony, mam jednak swoją dumę. Będę to robił dyskretnie. Potem musiałbym jeszcze na pewno przez wiele dni wysłuchiwać, jakie ona ma dobre serce.

Torres nawija coś o epoce kamienia łupanego i Egipcie, ale wciąż przekręca słowa, co raz po raz prowokuje chichoty w klasie. Sprawia wrażenie nieustannie poirytowanego i już niczego nie pisze na tablicy. Chyba nie ma odwagi.

Taaa. Pech.

Nie jest mi go szkoda.

Nie współczuję nauczycielom, bo oni zawsze mają nad nami przewagę.

Po przerwie, na której koję nerwy sześcioma batonikami czekoladowymi, wita nas zniecierpliwiona pani Langenmeier-Geweke.

– Nie marudzić! Siadać! Wyjmować zeszyty i przybory do pisania! I ekierki z kątomierzem!

Ekierka.

Kurrr... demolecholewcia.

Rano wiedziałem, że czegoś zapomniałem, ale nie mogłem sobie przypomnieć czego.

Mojej ekierki!

– Nico? Ekierka? – W poszukiwaniu pomocy odwracam się do mojego najlepszego kumpla. On jednak patrzy na mnie z taką samą rozpaczą w oczach i kręci głową. Teraz jest nas dwóch. Jeżeli więcej osób zapomniało ekierek, to będziemy mogli twierdzić, że Langenmeierowa zapomniała nam o nich powiedzieć.

Ogarniam wzrokiem klasę, ale wszyscy inni najwyraźniej mają sprzęt. Co za kicha. Same kujony.

– Czy ktoś zapomniał ekierki? – rzuca nauczycielka z pytającym wyrazem twarzy.

O nie.

Nie ze mną te numery.

Nie będę ryzykował wpisu do dziennika. Spuszczam głowę i w skupieniu wpatruję się w stół. Nico chyba podniósł rękę, bo Langenmeier-Geweke mówi:

– Nico Kolping. Aha. Jeszcze ktoś? Ostatnia szansa!

Nie dam się nabrać na jej przyjazny ton głosu, a Nico jest naprawdę naiwny. Jak może się dobrowolnie

zgłaszać? Na pewno dostanie uwagę do dziennika. Po trzech wpisach szkoła wysyła zawiadomienie do rodziców, a ja już dwa razy zapomniałem o zadaniach domowych, więc milczę jak grób. Bez ekierki też ja-  
koś sobie poradzę.

Langenmeierowa otwiera szufladę w swoim biurku i wyjmuje ekierkę.

– Proszę, Nico. Ale następnym razem pamiętaj o zabraniu swojej, bo inaczej będę musiała wpisać ci uwagę, jasne?

Co??? Jak to???

On nie dostanie uwagi?

To niesprawiedliwe!

Gdybym wiedział, też  
bym się oczywiście zgłosił.  
Ale właśnie tak nieobliczal-  
ni są ci nauczyciele. Człowiek komple-  
tnie nie może na nich polegać.



Pani Langenmeier-Geweke rozdaje zadania. Dwie kartki. I już na pierwszy rzut oka widzę, że bez pomocy nie dam rady. Dlatego bardzo dyskretnie przysuwam krzesło do Carolin, żeby móc jak najwięcej dojrzeć. A ona od razu gorliwie zabiera się do pracy.

Czy to 3, czy 8?



Jejku, ale zawijasy!

Czy nie uczyli jej porządnie pisać?

O mało co nie skręcam sobie karku, ale wtedy akurat Langenmeierowa patrzy w moją stronę, więc w ostatniej chwili wciskam głowę w ramiona.

Uff! Mało brakowało, a nakryłaby mnie.

Nie wszystko jestem w stanie dojrzeć, ale mam nadzieję, że dobrze odgapiłem pierwsze wyniki. Gdy dochodzę do zadań z ekierką i kątomierzem, nie mogę niestety dokładnie wymierzyć kątów, więc robię to odręcznie.

Powinno wystarczyć co najmniej na tróję. Albo nawet jeszcze lepiej. Carolin rozwiązała wszystkie zadania, a pisała w miarę czytelnie.

Pod koniec lekcji jestem zadowolony.

– Sprawdźcie wszystko jeszcze raz. Za pięć minut oddajecie prace – oznajmia pani Langenmeier-Geweke.

Łee! Niech inni się szarpią, ja mogę już wyluzować, bo Carolin jest orłem z matmy i jej obliczenia na pewno są dobre. Przynajmniej te, które zdołałem odgapić.

– Kuba? Nie chcesz jeszcze raz wszystkiego sprawdzić? – pyta nasza natrętna matematyczka.

Kręcę głową i posyłam jej triumfalne spojrzenie.

– Nie muszę. Przygotowałem się i dziś jestem pewny, że prawie wszystko mam dobrze – mówię spokojnie.

No dobra, przesadzam. Wczoraj wieczorem przekartkowałem tylko zeszyt, ale jak na mnie to i tak bardzo dużo. Matma raczej mnie nie interesuje, nie zamierzam jej też studiować. Matematycy to chodzące mumie, a ja w żadnym razie nie chcę tak skończyć. Z podwójnym nazwiskiem w jakiejś szkole. Beznadzieja.

Pani Langenmeier-Geweke kiwa głową.

– To świetnie, Kuba. Naprawdę się cieszę.

Chodzi teraz od ławki do ławki i zaczyna zbierać sprawdziany. Zezuję do pracy Carolin i widzę, że zapomniała na teście obok litery A wpisać nazwisko.

– Caro. Dopisz nazwisko – szepczę.

– O, dzięki! – Carolin uśmiecha się do mnie z wdzięcznością i szybko je dopisuje.

Teraz osiągam pełnię szczęścia. Przynajmniej tyle mogłem dla niej zrobić. Ale zaraz! Czy ja też nie zapomniałem się podpisać?

Nie. Luzik. Wpisałem nazwisko.

Kuba Kotbrzuch.

Zaraz obok B.

Spokojnie rozpieram się na krześle. Pani Langenmeier-Geweke pochodzi coraz bliżej, a ja szykuję się do oddania moich obydwu kartek.

Chwila.

Dlaczego B?

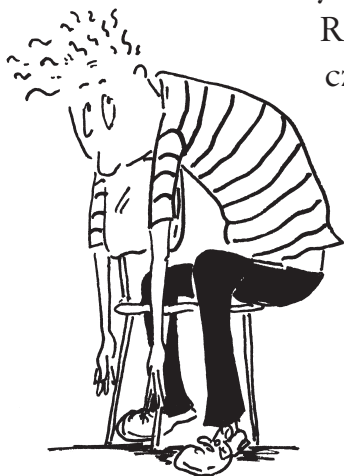
Czy u Carolin nie było A?

Robi mi się gorąco i zimno jednocześnie. Głowę przeszywa mi tyś się błyskawic.

Kolana się pode mną uginają.

Otwieram usta i zapominam je zamknąć.

Ręce zaczynają mi drżeć.  
To chyba jakiś zły sen!



Świadomość, że to jednak java i że faktycznie są  
dwie różne wersje testów, powala mnie jak nokaut.

BUM!

Jestem załatwiony.

---

Wydawnictwo NASZA KSIĘGARNIA Sp. z o.o.  
02-868 Warszawa, ul. Sarabandy 24c  
tel.: 22 643 93 89, 22 331 91 49  
faks: 22 643 70 28  
e-mail: naszaksięgarnia@nk.com.pl

Dział Handlowy  
tel.: 22 331 91 55, tel./faks: 22 643 64 42  
Sprzedaż wysyłkowa  
tel.: 22 641 56 32  
e-mail: sklep.wysylkowy@nk.com.pl **www.nk.com.pl**

---

*Książkę wydrukowano na papierze  
Ecco-Book Cream 70 g/m<sup>2</sup> wol. 2,0.*

Redaktor prowadzący *Anna Garbał*  
Opieka redakcyjna *Joanna Kończak*  
Redakcja *Bogumiła Widła*  
Korekta *Ewa Mościcka*  
Opracowanie DTP, redakcja techniczna *Joanna Piotrowska*

ISBN 978-83-10-12178-3

PRINTED IN POLAND

Wydawnictwo „Nasza Księgarnia”, Warszawa 2013 r.  
Wydanie pierwsze  
Druk: Zakład Graficzny COLONEL, Kraków